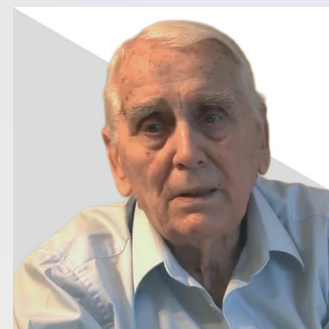




## Alfred Grabowski

część I z II

Sygnatura notacji: **N0889**  
Data urodzenia: **13.06.1925 r.**  
Data nagrania: **20.01.2015 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Marcin Łaszczyński**  
Czas nagrania: **część I: 72 min, część II: 49 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Alfred Grabowski:** Przed powstaniem przeszedłem przeszkolenie roczne w oddziale, który potem został włączony do kompanii K 1. Pułku „Baszta” i walczył na Mokotowie. Ale ja po rocznym szkoleniu na Wielkanoc 1944 roku dostałem od kaprała podchorążego prowadzącego ten kurs szkoleniowy trzy broszury. Dwie dotyczyły jakichś spraw socjalistycznych, a jedna walk ulicznych w Warszawie, chyba Roweckiego nawet. Z przyjemnością przeczytałem tę o walkach ulicznych, bo tam były informacje o broni, o sposobie prowadzenia walki i tak dalej, czyli to, co żołnierza musi interesować, a dwie pozostałe dotyczyły spraw raczej politycznych, bo chodziło o socjalizm. Mnie nie interesowały wtedy żadne sprawy polityczne, ponieważ Polska była w niewoli, więc dzielenie Polski już na polityczne sektory uważałem za wielce niewłaściwe. I w czasie pierwszej zbiórki, po świętach wielkanocnych, powiedziałam podchorążemu, że ja nie życzę sobie takich książek, bo mnie nie interesują polityczne aspekty, tylko wyłącznie szkolenie wojskowe, które wykorzystamy w czasie walki, a potem zobaczymy, będą wybory i zobaczymy, jak ludność Polski się wypowie. On się strasznie zdenerwował i powiedział krótko: „My musimy przygotować się do przejścia władzy”. We mnie zapaliło się czerwone niestety światełko, ponieważ zorientowałem się, tak przynajmniej wtedy sądziłem, że to nawet jest jakaś komunistyczna, czego sobie nie życzyłem, jakaś komunistyczna organizacja. Nie, to nie była komunistyczna, to był PPSWRN, tylko kapral był strasznie zaciętrzewionym socjalistą, zabronił mi przychodzenia na następne szkolenie i w maju już nie mogłem przychodzić na szkolenie, i po dwóch tygodniach zatelefonował do mnie i przekazał mi informację, że zostałem wykluczony, otrzymałem karencję, czyli karę zakazu wstępowania do jakiegokolwiek organizacji wojskowej czy politycznej pod rygorem kary śmierci za przejście do innego zgrupowania, bo będzie traktowane jako zdrada organizacji. To było bardzo ciężkie dla mnie do przyjęcia, ale prośba o rozmowę z dowódcą zakończyła się niczym, ponieważ powiedział, że to jest rozkaz dowódcy, więc nie miałem już nic do powiedzenia, więcej nie przy-

chodziłem. W tej grupie szkoleniowej było nas kilku z jednej klasy. Był Wiesiek Dobrowolski z Bielan tutaj, z którym chodziłem przed wojną już do pierwszej gimnazjalnej i potem na komplety tajnego nauczania przy gimnazjum Poniatowskiego na Żoliborzu. Byli dwaj bracia Jozefi i jeszcze chyba Chrzanowski, któryś z Chrzanowskich, bo tam było w szkole... w szkole w pierwszych klasach było dwóch, nie pamiętam, który. Ten, który mieszkał na ulicy Schroegera, czy przy Placu Schroegera, na Bielanach. No niestety, wybuch powstania, ja nie byłem powołany, w związku z tym starałem się tylko robić to, co mogłem. Byłem w takiej grupie, która tam kopała barykady, szczególnie dużą barykadę kopaliśmy na ulicy Krasińskiego, róg Stołecznej ówczesnej gdzieś, Popiełuszki. Tam nawet Niemcy, jak się zorientowali, że robimy barykadę, to z Burakowa artyleria zaczęła tak strasznie strzelać, że musieliśmy przerwać, przynajmniej na jakiś czas. Potem tam przenieśliśmy jakąś maszynę elektryczną do Szwelińskiego, do kotłowni na ulicy Suzina, bo tam były jakieś tam warsztaty zbrojeniowe chyba no i tego rodzaju różne czynności. Z kolegą swoim, który był w oddziale chroniącym, z Andrzejem Stefanowiczem, który był w oddziale, jego dowódcą, kapralem podchorążym, był Olgierd Budrewicz, i oni rezydowali w Szklanym Domu, to jest ulica Mickiewicza 34/6. Z nim poszedłem do kapitana „Żmii”, do Feniksa, To jest taki duży blok spółdzielczy przy „Placu Inwalidów”, i prosiłem, że ze względu na stan powstania chcę wejść do walki. Zapytał mnie, czy mam broń. Broni oczywiście nie miałem, więc powiedział: „Nie, nie potrzebujemy takich”. I dalej byłem w tym oddziale, który tam różne roboty takie prowadził. Tak wyglądał mój okres powstańczy. Niemniej w czasie okupacji zarówno ja, jak i mój brat szkoliliśmy się, znaczy chodziliśmy, uczęszczaliśmy na tajne komplety przy gimnazjum Poniatowskiego, chociaż mój brat przed wojną chodził do gimnazjum Żeromskiego, ulica Marszałkowska 150, róg ulicy Kredytowej, w [niezrozumiałe] a ja przed wojną skończyłem tam w 1938 roku szkołę powszechną. Brat po skończeniu szkoły powszechnej kontynuował naukę w gimnazjum i był już przed wojną w trzeciej gimnazjalnej. Brat poszedł do powstania, zostawił tylko krótką kartę, że za dwa-trzy dni wraca, natomiast ja siedziałem w domu, starając się coś tam pomagać przy różnych takich czynnościach na Żoliborzu. W każdym razie z oddziału, w którym byłem, znaczy z tej grupy, w której byłem i weszła ona do kompanii K 1 „Baszty”, w pierwszym dniu powstania wszyscy moi koledzy zginęli. Tak że mogę nawet zaryzykować powiedzenie, że kapral podchorąży, który też zginął tam przy zdobywaniu pola pola wyścigów konnych od strony zachodniej, to uratował mi w zasadzie życie. Ponieważ przeżyłem. W każdym razie do nas w pewnym momencie..., komplety w moim mieszkaniu były cztery razy w tygodniu, to w 1940 roku, dwa razy moje i dwa razy brata. Na początku niewiele osób zgadzało się na prowadzenie kompletów w domu, dlatego że to przychodziło do piętnastu chłopców, to już prawie dorośli mężczyźni, a później już zupełnie dorośli. W każdym razie nie dało się tego ukryć przed sąsiadami. No i nasz miły sąsiad zakapował nas po powstaniu, że tutaj. A on był pepesiakiem przed wojną, natomiast po wojnie, jak wrócił do Warszawy, to stał się komunistą, bo się lepiej opłacało. No i zakapował nas, krótko mówiąc, bo miałem relację, jak on to zrobił w komisariacie MO, który się mieścił wtedy na ulicy Mickiewicza 52/54. Przypadek chciał, że był ktoś znajomy nasz, który nam doniósł o tym, bo on nie spodziewał się, że to jest osoba, która nas zna. Ale myśmy nie robili nic, bo przecież mogliśmy mu też trochę zalać sadła za skórę za różne sprawy, bo najpierw był strasznym komunistą, a potem stał się działaczem parafialnym, w kościele na ulicy Felińskiego, róg Krasińskiego. Dwóch takich było komuchów, których wsadzono do naszego domu. No a poza tym niechęć do właścicieli domu była oczywista wtedy, dlatego że wszyscy najeżdżali, że nikt nie mógł dojść swoją pracą do jakiegokolwiek wyniku finansowego przed wojną. W każdym razie 14 kwietnia 1945 roku wieczorem, tuż przed godziną 10:00, przyszli trzej panowie w mundurach oficerskich, w tym jeden miał tylko szlify normalne kapitana, przedstawił się jako przedstawiciel, oficer, kapitan Wojewódzkiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, i zrobiono kocioł w naszym mieszkaniu. Około

trzydziestu osób się zebrało. Najciekawszy to był sąsiad, który przyszedł do mnie, coś tam ze mną chciał rozmawiać, został aresztowany, znaczy wpuszczony do mnie, „Proszę, proszę, niech pan wchodzi”, wszedł i już nie wyszedł. Za chwilę syn taki dziesięcioletni przyszedł, bo matka go wysłała, żeby zobaczył, co z ojcem, bo nie wraca już, a tylko miał tam na sekundę przyjść, coś się zapytać, za chwilę ta pani z córeczką półroczną na ręku przychodzi, też weszła, już nie wyszła, potem jakaś kobieta, która dostarczała mleko lokatorom, przyszła z mlekiem, też siedziała potem cztery dni czy pięć. W każdym razie kociołek był spory, bo koło trzydziestu osób.

### **Marcin Łaszczyński: A jak długo trwał?**

**Alfred Grabowski:** Proszę?

### **Marcin Łaszczyński: Jak długo trwał?**

**Alfred Grabowski:** Koło czterech-pięciu dni. Mnie wywieziono chyba w środę. Albo z wtorku na środę, ale w następnym tygodniu już. Bo to było z piątku na sobotę. A ja w dniu 6 kwietnia pojechałem do Poznania, ponieważ maturę zrobiłem na kompletach tuż przed powstaniem, i miałem zaświadczenie, pojechałem do Poznania, bo dowiedziałem się, że tam rozpoczyna się rok szkolny na medycynie poznańskiej. I to był kierunek upragniony, który chciałem realizować. Tam zostałem przyjęty na ten rok i 17, czyli w poniedziałek, miałem się zjawić na studiach. No już się nie zjawiłem, bo 14 zostałem aresztowany. Proszę sobie wyobrazić, że przed kilku laty, może przed dziesięciu niecałymi laty, ja napisałem do Poznania, do Akademii Medycznej już teraz, bo to rozdzielono potem, wtedy to był Wydział Medycyny Uniwersytetu Poznańskiego, a teraz to jest Akademia Medyczna, osobna uczelnia. Napisałem i przysłano mi dokumenty, łącznie z moim odręcznym podaniem o przyjęcie z dnia 6 kwietnia 1945 roku. Mam je. W każdym razie już studia poszły koło nosa, jak to się mówi. Nas zawieziono, to znaczy ludzi jakoś wyprowadzano, ja nie wiedziałem gdzie, ja chyba zostałem wyprowadzony ostatni albo przedostatni, i zostałem zawieziony na ulicę Sierakowskiego, do Ministerstwa Bezpieczeństwa, tam się właśnie mieściło, w przedwojennym domu akademickim gminy żydowskiej. Rzeczywiście pensjonariusze tego domu nie bardzo się nawet zmienili, bo większość to byli jednak ci sami ludzie, którzy tam przed wojną studiowali i tam mieszkali. W każdym razie ja chodziłem do szkoły powszechnej przy Gimnazjum Żeromskiego, gdzie większość w szkole powszechnej, i to znakomitą większość, stanowiły dzieci rodzin żydowskich. Ale to byli najlepsi moi koledzy, przyjaciele, ja nawet chodziłem i, jak to nazywałem, nęciłem z kolegą jeszcze... Wiesiek... nie pamiętam już w tej chwili nazwiska... nie, nie Kisieliński. W każdym razie Wiesiek, żeśmy [niezrozumiale], że tak powiem, choinki, bo te rodziny już tak się asymilowały, że już przyjęły zasadę ubierania choinek na święta. Ojcowie jeszcze mieli tam wykupione, bo to zamożni ludzie przeważnie byli, mieli wykupione w synagodze stałe miejsca, ale równocześnie dzieci już były takie, że tak powiem, po drugiej trochę stronie. Żadnych zadrążeń na temat pochodzenia czy religii nie było, w ogóle nie było takiego tematu. To byli przyjaciele, koledzy szkolni, normalnie. Nie wiem, skąd się dzisiaj biorą jakieś tragiczne zdarzenia... Jak w każdym narodzie, ten sam naród może być i nawet o tych samych poglądach, o tej samej religii, a ludzie się mogą pokłócić, i nawet dojść może do drastycznych scen. I z tego robi się polityczne problemy dzisiaj. Dla wygrywania innych spraw, o których się wyraźnie nie mówi. W każdym razie w domu od razu po aresztowaniu były przesłuchania, kto wchodził, od razu był oddzielany i przesłuchiwany, potem zajęto drugie mieszkanie, tych państwa, z dwojgiem dzieci, łącznie z tą matką Bogusią na ręku, znaleźli się u nas, też mieli

dwupokojowe duże mieszkanie, i w tych dwóch mieszkaniach towarzystwo siedziało tam trzy-cztery dni. Kogo kiedy wywozili, trudno mi było powiedzieć i dokąd. Część ludzi zwolnili, a nas zawieziono do ministerstwa. Tam były znów przesłuchania, w dzień, w nocy, po kilka razy nieraz w nocy. Robiono to specjalnie, żeby skołować człowieka, żeby był mniej czujny na chytre takie pytania, którymi chciano ukierunkować odpowiedź przystającą do reguł bezpieczeństwa. Ja jakoś dobrze wytrzymałem te nocne przesłuchania, ponieważ w czasie okupacji bardzo dużo czytałem. Mieliśmy takiego sąsiada, pana profesora Wojdę, to był dyrektor gimnazjum Lelewela, miał piękną bibliotekę i zapraszał mnie wcięż, a do nas przychodził na nasłuch, bo mieliśmy całą wojnę radio. Nasze radio oficjalnie zdaliśmy, ale od pana porucznika Sznajdra, Jana Sznajdra, to był przedwojenny bramkarz, drugi bramkarz reprezentacji w hokeju, reprezentacji Polski, pierwszy był Stogowski, i on jeździł po świecie z drużyną, być może był w wywiadzie wojskowym, i on przyniósł nam takie bardzo fajne radio. To było radio jak duże pudełko od leków. Spore takie pudełko, nieprzesadnie. O, tej wielkości. I grube na jakieś 3 centymetry. Tylko jedno było charakterystyczne, obudowa. Obudowa była z tak grubej blachy, że w ogóle nie mogłem zrozumieć, że to jest jakiś użytek cywilny. Absolutnie nie był, bo to było wojskowe. I ten pan był w wywiadzie, w tej grupie, którą stworzono przed podpisaniem porozumienia, znaczy kapitulacji Warszawy, gdzie generał Karaszewicz tworzył grupy wywiadowcze już. I on w tej grupie się znalazł, ponieważ znał ojca, a ojciec mój przed wojną od lutego chyba 1920 roku pracował w Urzędzie Śledczym Miasta Warszawy. To były cztery biura, łącznie tam koło 800 ludzi, ale były tam cztery biura, które wszystkie policje niemundurowe prezentowały, od obyczajówki... znaczy siedem było kryminalnych, od obyczajówki do bandyckiej, przez doliniarzy, czyli kieszonkowców, przez fałszerzy i tak dalej, aż do bandyckiej brygady. Natomiast były trzy grupy, które zwalczały nazizm, hitleryzm, komunizm i trzecia grupa do walki z penetracją litewską i czeską. My tylko dobre stosunki mieliśmy z Łotwą, której generał Żeligowski przekazał Dyneburg, zdobyty przez polskie wojsko, i z Rumunami, z którymi nie mieliśmy różnicy interesów. Czesi, wbrew temu co się ogólnie w polskim społeczeństwie zagospodarowało, za komuny takie powiedzenie, że żeśmy im wbili nóż w plecy w 1938 roku, co nie jest prawdą. Dlaczego? Dlatego że w 1918 roku, kiedy padało Cesarstwo Austriacko-Węgierskie, powiaty przygraniczne na ziemiach cieszyńskich podzieliły się odpowiednio do większości ludności. Tam, gdzie większość była polska, miały te powiaty przejść do Polski. Gdzie większość była czeska, do państwa czeskiego. Natomiast jak Piłsudski poszedł, prowadził wojnę prewencyjną i uderzył na Kijów, to Czesi uderzyli i doszli na polskie ziemie, doszli aż do pod Bielsko. Tam zginęły dwie takie, można powiedzieć, dwie postacie bardzo ciekawe, bo bratanek generała Hallera, kapitan, który był zwolniony z wojska ze względu na rany, które odniósł po rekonwalescencji, i tak samo jakiś kuzyn naszego premiera. A w którym miejscu pana trzymali na Sierakowskiego? Jak wyglądały te cele?

### **Marcin Łaszczyński: Bo my mamy takie relacje...**

**Alfred Grabowski:** Proszę pana, bardzo ciekawe. Bo jak się teraz wchodzi, to tam jest tylko wejście na prawo. A tam było otwarte przejście. W każdym razie, jak się wchodziło, to wejścia były takie zabiegowe. Bo tam była taka sala gimnastyczna. Nie, sali gimnastycznej nie znam. Znaczącej wcześniej była, takie półkoliste... Nie, ale to przy samym wejściu, tu, gdzie teraz jest wejście. I troszeczkę ono głębsze było. Bo tam zabudowano... Tam był taki balkonik i do tego balkoniku dostawiono ścianę. Tak że tego balkoniku nie widać teraz. Bo do tego balkoniku prowadziły dwie takie zabiegowe biegi schodowe. I pod tym siedzieliśmy. Z ojcem i z matką. Na takiej... To była otomana, z której zdjęto wałki i te części miękkie. I myśmy na tym siedzieli, i na tym spali. Tu, na parterze, przy samym wejściu, i siedział

tylko dżentelmen z pepeszą. I pilnował wejścia, i pilnował nas. Czyli nie sprowadzano pana w dół,

### **Marcin Łaszczyński: czyli było to na poziomie...**

**Alfred Grabowski:** Nie. Myśmy tutaj mieszkali, spali na tej reszcie otomany. To resztówka była, bo to dół sam był. W każdym razie zabrano ojca, zabrano matkę, okazało się, że matkę stamtąd wypuścili, ale to się dowiedziałem dopiero, jak wyszedłem z więzienia. Z Rawicza. W każdym razie do..., ojca wywieziono gdzieś. I ja ojca nie widziałem znów, a ojciec siedział właśnie na ulicy Strzeleckiej. Mnie przywieziono tam i ja tam też siedziałem. Zaprowadzono mnie do piwnicy. Jak schodzi się od razu z pierwszej klatki, tutaj od bramy, pierwsza klatka na dół, w lewo i po prawej stronie, no ja wiem, w lewo chyba z pięć kroków i po prawej stronie. Tam była duża piwnica, mniej więcej tak jak... znaczy głębsza niż ten pokój, ale dużo węższa. I nas było tam siedemnastu, ja byłem siedemnasty. Jak się wchodziło do tego, to stał przy drzwiach zaraz taki hobok, to była latryna nasza w dzień. Raz dziennie mieliśmy obórkę, znaczy szło się do ubikacji i jak człowiek miał szczęście, to coś tam zrealizował. Jeżeli nie miał, to potem hobok służył temu. Co oczywiście nadawało specjalnej aury tej izbie czy tej piwnicy. To była ta piwnica wybetonowana, normalne takie piwniczne pomieszczenie, koło 3 metrów, 2,80, może 3 nawet szerokie, i koło 5 długie. Okienko piwniczne było zastawione płytami chodnikowymi, żeby nie było widać nas ani żebyśmy my nie widzieli, ale tam przez to okienko, przez te płyty, przechodziło trochę słońca i wtedy było bicie pluskiew. Pluskiew i wszy, dlatego że byliśmy strasznie obciążeni insektami. Średnia to... Biliśmy rekordy, ile kto wyfukł, średnia to wynosiło od trzydziestu do czterdziestu. Dziennie. I to co dzień. W każdym razie, żeby jeszcze było lepiej, przed okienkiem naszej piwnicy stał jeszcze... Ja wiem, jak to nazwać? Konstrukcja pomieszczenia autobusiku jakiegoś pozbawionego silnika i podwozia. Ten czerep tylko stał.

### **Marcin Łaszczyński: Kadłub.**

**Alfred Grabowski:** Kadłub, tak. Zastłaniał po prostu okna naszej piwnicy dokładniej jeszcze. W każdym razie siedemnastu nas było i tam... Ale bardzo ciekawe, bo to od właściciela wytwórni mydła, który był na jakimś przyjęciu, w czarnym garniturze, biała koszula, elegancko, tylko już straciła ten urok białości, siedział tam już chyba ze dwa tygodnie. Był na przykład taki młody człowiek, pochodził z Żerania, strasznie nie lubił..., tam przed wojną był znany ogrodnik, Zadrożny, przy samej stacji ciuchci miał swoje te ogrody. Strasznie go nienawdził, nie wiem, za co, a pracował w jakimś biurze do zleceń specjalnych premiera i wpadł, bo brał dolę od cinkciarzy, którzy handlowali dolarami, złotem i tak dalej. Tak że to bardzo ciekawe, takie właśnie skrajne typy. Był też Tolek. I Tolek mówił, że był kapitanem w AK na ziemiach wschodnich, za Bugiem, walczył i dostał polecenie, żeby się zgłosić do UB i pracować w UB. Jak było w rzeczywistości, nie wiem. Ostatnio był jakimś komendantem powiatowego UB na terenie województwa łódzkiego. I stamtąd go zdjęto, zarzucając mu, że nie podał w swoim życiorysie działalności w AK. Miał pozrywane te szlify... Ale czy to nie była mistyfikacja, też nie wiem. Różnymi metodami posługiwała się bezpieka, żeby zdobyć zaufanie i dowiedzieć się coś więcej od jakichś tajnych spraw, które każdy gdzieś tam miał w zanadru. W każdym razie tam byłem przesłuchiwany nomen omen przez pana Światło, Fleischfarba. Chyba na drugim piętrze, prowadzono mnie na drugie piętro, i wprowadzano do pokoju, a drzwi do sąsiedniego pokoju były uchylone, na wpół uchylone. To były obydwa pokoje od podwórka. I jak sądzę, przesłuchującym był adept po szkole Duracza w Łodzi, gdzie szkolono ubowców na śledczych, a jego prowadzącym był pan Światło, pan Fleischfarb, pan major wtedy. Ale to był łebek tak

jak piłeczka i włosy, taki półjęzyk na głowie. Charakterystyczna twarz. Jak mój brat cioteczny przywiózł z zachodu książkę właśnie „Światło mówi”, no to jak zobaczyłem to zdjęcie, no to znajomy z ulicy Strzeleckiej mi się przypomniał. W każdym razie co jakiś czas rozlegało się pukanie do drzwi, prowadzący przesłuchanie: „No, ty suk...synu do kąta”, ja szedłem do kąta, ale łypnąłem zawsze okiem, bo wtedy wchodził Światło i coś tam na ucho do tego śledczego, coś go instruował, i wychodził. „Siadaj, ty taki, nie taki”. No i siadałem znów, i znów rozmowa. A jak się panu śledczemu nie podobało, to tam parę kupniaków, kuksańców czy coś takiego zawsze człowiek załapał. Tam nie było tak, żeby tak po koleżeńsku. Podobno ja jeszcze nie byłem źle przesłuchiwany. Były takie przypadki, że wrzucano taki worek mięsa po przesłuchaniu. Tak jak kolega Skorupiński, nie żyje już od dwóch lat prawie, opowiadał, to do jego celi wrzucono..., jakiś pułkownik, zdaje się, i zupełnie już nieprzydomny, skrwawiony, był oprawiony już tak na cacy.

### **Marcin Łaszczyński: Tam na ulicy Strzeleckiej?**

**Alfred Grabowski:** Na ulicy Strzeleckiej. Z ludźmi się nie liczone. Prawdopodobnie ta relacja Skorupińskiego jest w telewizji „Trwam”. Bo wtedy, wieczorem, jak arcybiskup [Henryk] Hoser razem z doktorem [Tomaszem] Łabuszewskim prowadzili tę wieczorową akcję tam w piwnicy, to ja przyszedłem do domu i patrzę, w „Trwam” jest... Żona woła: „Chodź, chodź, chodź”, ja patrzę, ja tam jestem. W każdym razie to „Trwam” ma. Bo i mnie, i jego przesłuchiwali. Parę kopniaków, parę uderzeń. Najgorzej, bo właśnie zęby wylatywały po rozmowach. Mnie brakowało jednego zęba, jak tam się dostałem, w ogóle zostałem aresztowany, jak wyszedłem w październiku z Rawicza, to już sporo brakowało. Zostawały tylko pierki po rozmowach. W każdym razie w dniu 1 maja samochód... A, jeszcze. Codziennie nad ranem, jeszcze było dobrze ciemno, jakiś samochód przyjeżdżał, ciężarówka, silnik mocno uruchamiano, nie tak jak na luzie, na stopie silnik pracuje, tylko mocniej, i słychać było strzały. Czy to były strzały do kogoś, czy uczyli się strzelać, nie wiem. Nie potrafię na ten temat nic powiedzieć. To dochodziło z dziedzińca? Od strony podwórka. Z zewnątrz ani razu nie słyszałem, żeby tam ktoś strzelał, ani do, ani od załogi chroniącej tego obiektu nie słyszałem strzałów zewnętrznych. Słyszałem tylko od strony podwórka. A dobrze było słyszeć, dlatego że na korytarz były takie drzwi ażurowe, z takich tralek jakby drewnianych, i tam można było przesuwac... Jeden z naszych kolegów, że tak powiem, więźniów, to był jakiś murarz, którego przyjacielem był ten... kalifaktor, tak? Ten, co pilnuje. Ten właśnie Anton, Antek, który tam pilnował, znaczy obsługiwał nas, nazwijmy to... i ten wołał zawsze: „Antek, daj papierosa”. I Antek przychodził, palił sam i dawał mu popalić, zabierał i tego... A to byli koledzy od kielicha dwaj. I ten murarz mówił, że on tam w sobotę dostał wypłatę, zdrowo popił no i kazał jakiejś tam orkiestrze grać „Kwiaty polskie” [przypuszczalnie chodzi o „Czerwone maki na Monte Cassino”]. I enkawudzista go zgarnął. Ale jego wypuścili. Mam wrażenie, że on był kapusiem. Ja tam byłem jeszcze z panią prokurator Grabską-Taczanowską, która pierwsza w 1992 roku prowadziła śledztwo. Ona była delegowana z prokuratury generalnej do Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Bardzo przyjemna pani, no ale zrobiła jednego psikusa, bo w 1990 roku ja byłem dwukrotnie przez nią przesłuchiwany, powiedziałem jej rzecz, o której ona jeszcze nie wiedziała, a mianowicie, że w Rembertowie tuż po odbijaniu, chyba, albo nawet jeszcze przed, czyli przed 20 maja, taka starszyzna obozowa postanowiła, że jak się unormują stosunki i wyjdziemy wszyscy z więzienia, utworzy się stowarzyszenie „Rembertowiaków”. Ona o tym nic nie wiedziała, ale w protokole nie zaznaczyła tego. Powiedziała mi tylko: „Nikt mi jeszcze tego nie mówił. Skąd pan to wie?”. Ja mówię: „Od ojca”. Dlatego że ojciec jako pracownik policji na stanowisku oficerskim był tam, powiedzmy, dobrze widziany przez tych pozostałych więźniów. Był tam między innymi mecenas Radnicki, który przed wojną był

dyrektorem departamentu w Ministerstwie Sprawiedliwości, był pan Lewandowski, mój imiennik, Alfred, który organizował..., między innymi z ramienia PCK pomagał tam w tworzeniu obozu przejściowego po powstaniu w Pruszkowie i tak dalej. To wszystko było traktowane przez bezpiekę jako kolaboracja, czysta kolaboracja, z Niemcami. Rosjan tu nie było, więc nie można było z nimi rozmawiać jeszcze. W każdym razie w naszym obozie siedzieli na przykład młynarze, w Rembertowie, których posądzano, znaczy mieli zarzut, że kolaborowali, bo mieli mąkę za okupacji dla Niemców przecież na przydział. No przecież absolutna współpraca. No tak, Armia Krajowa smarowała masłem tory, żeby transporty... lepiej szły. Właśnie. Tak że niewinnych w obozie w Rembertowie nie było, wszyscy byli winni, u nas w każdym razie z osób, które zatrzymano, do końca zatrzymano pięć osób, samych mężczyzn.

### **Marcin Łaszczyński: Z tego kotła?**

**Alfred Grabowski:** Z tego kotła. Mojego ojca i mnie oraz pana Pasikowskiego Maurycego, Zdzisława Kubickiego i Stanisława Kotkowskiego. Tak. W niedzielę, to był 16 kwietnia, dwa dni po aresztowaniu, pan Pasikowski ze swoimi siostrami, które wróciły do Warszawy i mieszkały gdzieś na Bielanach, przyszedł do nas, żeby się dowiedzieć o los swojego brata. Mój brat starszy i jego najmłodszy, Seweryn, kończyli tę samą podchorążówkę, Belweder, i walczyli w tym samym oddziale, na Starym Mieście. Trzymali tę barykadę na ulicy Mostowej, przy Starej. To już tam na połowie stoku. I mój brat kończył służbę, a Seweryn ze swoją drużyną przyszedł i wyrzwał, brat zszedł już z placówki, a Seweryn wyrzwał i od snajpera dostał kulę tu, w czoło. Koniec. Ale rodzina nie wiedziała nic. Myśmy wiedzieli, dlatego że brat napisał z obozu jenieckiego do znajomych, którzy mieszkali u nas w domu, ale mieli wille i tam się przenieśli przed powstaniem na okres letni. To była Podkowa Leśna, ulica Borsucza 8. Państwo Kubiccy. Ja zresztą u niego w tej fabryce pracowałem, bo on prowadził fabrykę Tesliana, oddział takiej fabryki, który mieścił się na ulicy Bielańskiej... chyba 17. To był sąsiedni budynek, przy samej posesji Pałacu Radziwiłłów, od strony ulicy Długiej tutaj. To był pierwszy dom żelbetowy, który powstał w Warszawie, sześciopiętrowy, myśmy zajmowali piętro szóste i piąte, na piątym były maszyny i produkcja, i szwalnia, a na szóstym to były magazyny wyrobów i towarów. W każdym razie miałem okazję obejrzenia bardzo dokładnie akcji pod Arsenalem. I dzisiaj, jak ja patrzę, że w wyniku tego filmu Wajdy, który wykorzystał po prostu jedyną istniejącą pierzeję tego arsenału jako oryginał, że wszyscy teraz tam na ulicy Długiej umiejscawiają akcję, absolutnie nie. To było na ulicy Bielańskiej przed tym domem, za posesją pałacu, a przed ulicą Długą. Ten odcinek to liczył, ja wiem, 40–30 metrów, to nieduży był odcinek. Może 50. Od parkanu pałacu Radziwiłłów do ulicy Długiej, to było nie więcej niż 50 metrów. I tam na samym rogu to był ten słynny Hotel „Polski”, tam gdzie trzymano tych Żydów, którym sprzedano wizy do południowej Ameryki za dolary, a ich wszystkich do pieca wsadzono. Nie mogę zrozumieć, dlaczego dzisiaj się nie mówi nic o tym, że było gestapo żydowskie. Przecież pan Gansweig, to był Żyd z Wiednia, zorganizował tutaj... chyba Brand był gestapowcem, który prowadził tę komórkę, na Leszno 13, było gestapo żydowskie. Gestapowcy, czyli Żydzi, wychodzili na miasto, do nich się przyklejali od razu Żydzi, którzy szukali pomocy, no i sprowadzali na siebie nieszczęścia, nie tylko na siebie, ale i na polskie rodziny, które im dawały schronienie, sprowadzali nieszczęście, bo gestapo przyjeżdżało i albo zabijało od razu, albo brało i rozstrzeliwało poza tym terenem mieszkania i Żydów, i Polaków, którzy tam mieszkali i chronili. Dzisiaj to jest absolutnie niemożliwe, nie wolno... Nie mogę rozumieć tego. Wciąż się oskarża, że Polacy to kapusie, to, tego... Daj Boże, żeby wśród narodu żydowskiego tyłu było kapusiów co w polskim. Szczerze im tego życzę. W każdym razie tak wyglądał pan Pasikowski, który przyszedł do nas, ale z rodziną, z dwiema siostrami szedł na Pragę, żeby

zakupy zrobić. A to była zamożna rodzina, która w Fordonie pod Bydgoszczą miała hutę szkła. Została przez Niemców wysiedlona, ale tu prowadzili jakieś handle, jakieś, tego, tak że dobrze się mieli, i proszę sobie wyobrazić, miał przy sobie tysiąc dolarów. Z tymi dolarami przyszedł do nas. Nie wiem, bo potem jakoś to wszystko zaflagowano i prawdopodobnie ktoś dziabnął te dolary z bezpieki, i sprawę wyciszył. Dlatego że pana Pasikowskiego zwolniono już z Poznania, do którego nas zawieziono po Rembertowie. Drugi był pan Zdzisław Kubicki, on jakoś uciekł gdzieś Niemcom, zgłosił się do tego brata Kubickiego, który u nas mieszkał w mieszkaniu numer 8, przyszli do mojego ojca, ojciec swojego brata tam wezwał telefonicznie i ten pan Zdzisław Kubicki, który się urwał z Niemcom u stryja mieszkał. Od 1943 roku do powstania. Bo Nowy Rok spędzaliśmy u stryja, bo ze Lwowa uciekł w 1939 roku, i tam właśnie w jednym z pokojów mieszkał ten pan, Zdzisław Kubicki. Do końca okupacji. A Kotkowski to był woźny z biura ojca, z Urzędu Śledczego, który przyszedł do pana kierownika, żeby się dowiedzieć, czy jakieś pracy nie ma dla niego. Ojciec był przez swojego kolegę, komisarza jakiegoś, nie pamiętam, wezwany, żeby objął stanowisko w Urzędzie Śledczym po wojnie. I pamiętam, że poszedłem z ojcem na Targówek, tam, jak się przechodzi na ulicy Razdziwińskiej pod torami i wychodzi na Wincentego, i tam po prawej stronie, nie pamiętam, pierwsza czy druga ulica, może trzecia, była szkoła powszechna, zbudowana tuż przed wojną. I w tej szkole był Urząd Śledczy po wojnie. I tam ojciec rozmawiał, ale się nie zgodził na pracę tam i przeprosił kolegę, no po prostu kolega ufał ojcu, znali się dobrze, że nie chce już mieć nic z tą policją, bo wciąż granatowa, granatowa, zdrajcy, nie zdrajcy. A jest bardzo ciekawa książka, nie wiem, czy znacie, panowie, napisał Hempel jako wynik swoich dociekań do pracy doktorskiej, „Policja granatowa w GG [Generalnym Gubernatorstwie] w czasie okupacji”. I na zakończenie, w podsumowaniu, podaje, że tak bardzo zaangażowana w walkę podziemia żadna ze służb społecznych nie była. Ani telefony, ani gazownia, ani elektrownie, nikt. Śmieciarze, nie śmieciarze, drogowcy, nie drogowcy, nikt. On twierdził, że ponad 85% tych związanych z granatową policją było w podziemiu. Ja na przykład, jak widziałem tę akcję pod Arsenalem, po jakiejś godzinie zdecydowałem się wyjść. Ja widziałem dokładnie całą akcję. Ten samochód stał pod moimi oknami, na parterze, na jezdni, a ja z piątego piętra to widziałem, o tak. Tak patrzyłem. W każdym razie tam się trochę coś paliło przed tym, bo tam, jak rzucili granat, to było takie [auto] „Renault” z takim ściętym przodem, i jak rzucili granat, to tam wyciekła benzyna, nie benzyna, jakiś olej, i to się paliło. I przed tym leżał postrzelony policjant, a to był przodownik, on już był na skraju tutaj, jak ulica Długa, to już tutaj był... I dobiegł do niego jeden z tych prowadzących akcję rozbicia tego konwoju, i z pistoletem, i tak do niego... Groził mu. Bo on leżał na jednym boku, widać, nogę miał bezwładną, i on cofnął się tutaj, a taki był półokrągły dom. To był Pasaż Simensa. Simonsa czy Simensa. Po przeciwnej stronie Arsenatu, dokładnie. I tam było takie..., to był spalony w 1939 roku dom, i zejście do podziemia takie. Tam śmiecie wyrzucano, nie śmiecie. I on tam... tego, i zsunął się tam do tego podziemia już. Po prostu nie zagrażał nikomu niczym. Chcieli mieć czysty teren prowadzący akcję. I wtedy gwizdek i tu wyjechał samochód z ulicy Długiej, duży taki, długi, chyba podwójny, z tyłu dwa rzędy siedzeń były, i podjechał, ludzi z tej ciężarówki wyciągnięto, a jedna kobieta taka, ona miała włosy blond, a tu miała na środku... Musiała trochę siedzieć, bo miała na środku taki jakby grzebień ciemnych włosów już, odrosły. I ona nie chciała wyjść. Nie wiem, dlaczego. Bała się, może jakoś tam o rodzinę. W każdym razie ona nie chciała wyjść, ale ją wyciągnęli też i do tego samochodu, tam chyba z sześć osób wpakowali, i ten samochód osobowy czarny odjechał, za chwilę drugi [niezrozumiałe] i mniejszy, czarny też, podjechał, i do tego znów tam ze cztery osoby, i pojechał, a tutaj rozbiegli się wszyscy. W każdym razie ja gdzieś może półgodzinie, może nawet po godzinie, wyszedłem, a za chwilę było: „tu-tut, tu-tut” i Niemcy przyjechali, tam chodzili, i już zniknęli. To jak tu zniknęli, to ja myślę sobie, ja idę do placu Krasickich, Długą, żeby na Żoliborz, na Bytomską. Bo na Bytomskiej

mieszkaliśmy, na Żoliborzu Dolnym, przy ulicy Mickiewicza zaraz. W każdym razie ja idę i na Długiej, w takim... tuż przy tym największym miejscu, gdzie ulica Barska tam wchodzi w teren ogrodu, przy tym miejscu w bramie widzę, leży chłopak, nogi ma tak złożone, noga na nodze, w takiej, ja wiem, dwie trzecie takiej kurce skórzanej, i ręce pod głową, i leży tak, i Niemcy nad nim stoją. Co się okazało? To był chłopak, który był w obstawie. Nie zdążył się zwinąć, jak uciekał, wskoczył do takiego sklepiczku z cukierkami, jakimiś słodyczami, a ten sklepiczek prowadził jakiś folksdojcz, cholera. I ten folksdojcz go omamił, bo powiedział, że... Bo potem dostał czapę. W biuletynie czytałem to. I biegł tam: „Panie, niech pan ratuje, tu, pistolet, bo tu już obstawa, nie ma gdzie uciekać”. „Dawaj, dawaj tę broń”. I on schował mu tę broń, zabrał, i wyszedł do Niemców, i sprowadził Niemców. I co się okazało? To był syn urzędniczki z Policji Granatowej. z Urzędu śledczego przedwojennego, a to w czasie wojny nazywało się Dyrekcja Policji Kryminalnej. Ojciec mi opowiadał, że gdyby w czasie wojny nie przekazywano tych bandytów różnych Niemcom do załatwienia, po wojnie byśmy nosa z mieszkania nie wyściubili. Taki był bandytyzm. Nikt sobie nie zdaje sprawy z tego. No ale Polska miała własne jednostki, które też bandytów rozstrzeliwały. I uważam, że to była akcja po prostu, żeby Niemcy załatwiali sprawę. a z bandyty już się człowieka nie zrobi. Kroniki policyjne dość dokładnie znały losy bandziorów, którzy nigdy nie wrócili do normalności. Nigdy. Szczególnie jeszcze zupełnie zdemoralizowani wojną, gdzie... Ale wojna to szczególny okres. Weźmy Wawel. Przecież dwóch bandziorów zastrzeliło Niemca i 102 Polaków poszło na rozwałkę. W każdym razie po przesłuchaniach na ulicy Strzeleckiej, 1 maja... Czyli na ulicy Strzeleckiej pan był przez... Chyba też tam tydzień, osiem dni, coś takiego. Bo od 14 kwietnia do 1 maja. To był ten okres, gdzie byłem tam trzy dni, cztery w domu, potem ministerstwo, potem Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Czy w celach było oświetlenie? Coś tam się bzdziło u sufitu. Czyli jakieś żaróweczki były? Tak, ale to paliły się szczególnie w nocy. No tak, tak. Ale po prostu byłem ciekaw. Cały dzień i całą noc. A czy była jakaś możliwość porozumiewania się między celami? Czy próbowaliście się jakoś dowiedzieć, kto siedzi za ścianą na przykład? Tutaj raczej nie. Czyli właściwie nie był pan... Ale nie mogę odpowiedzieć za inne cele.

**Marcin Łaszczyński: Tak, ja rozumiem. Tu była taka, powiedziałbym, cela mieszana.**

**Alfred Grabowski:** No tak. Różne towarzystwo. Bo jeden... Bo jakaś tam komisja czy jak to tam nazwać, oddział do zleceń specjalnych premiera. Drugi...

**Marcin Łaszczyński: To znaczy Osóbki-Morawskiego?**

**Alfred Grabowski:** Wtedy tak. Drugi ten dowódca UB powiatowego województwa łódzkiego, ten murarz niby, a kumpel kalifaktora, który mu papieroski przynosił i tam nie wiem, czy nie wódę w nocy, to przyjaciele. A pana ojciec razem z panem był tam? Nie, ja nie wiedziałem, że tam ojciec jest.

**Marcin Łaszczyński: Aha. No tak, bo...**

**Alfred Grabowski:** Ja dopiero zobaczyłem ojca, jak nas wyprowadzili do transportu do Rembertowa. Patrzę, jest i ojciec, jest i Pasikowski, jest i Kubicki, jest i Kotkowski. Cała piątka się znalazła. Czyli wszyscy byli na Strzeleckiej, tylko rozrzućeni po poszczególnych... Ja nie wiedziałem, że ojciec tam mój jest. Nie tylko ci pozostali trzej panowie.

W każdym razie, jeżeli się aresztuje tam przedwojennego woźnego... Ale ten woźny walczył w 1920 roku z ruskimi, bo był w wojsku powołany. Więc oni mieli to wszystko bardzo dokładnie powiązane. A ten kocioł, który u pana zrobili, on był bardziej związany z pana ojcem? Trudno mi powiedzieć. Ojca wypuścili też. Raczej to się opierało chyba na tym, że do nas, i do brata, i do mnie... Bo przed maturą to u mnie był raz w tygodniu komplet. No tak, ale to było w czasie okupacji niemieckiej, prawda? Ale tego pana nie było, który kablował nas. Jego córka powtórzyła mu. Też potem była w PZPR-ze. No tak, ale w czasie okupacji sowieckiej coś działo się w tym 1945 roku u pana w mieszkaniu? Nie, to było przed powstaniem wszystko.

### **Marcin Łaszczyński: No więc właśnie. Proszę pana, jak przychodzi do pana piętnastu młodych byczków...**

**Alfred Grabowski:** Ale ja wiem... cztery razy w tygodniu. Znam trochę z autopsji, do mnie przychodzili... A po drugiej stronie ulicy, tak jak tutaj ten dom, jest komisariat tej Granatowej Policji... Dokładnie, ulica Bytomska 4. Myśmy byli ulica Bytomska 1. Przecież ci policjanci wiedzieli dokładnie. Dokładnie tak. Do nas przez półtora roku przychodziło dwoje takich malutkich Żydów. Śliczne dzieci, mówię wam, śliczne, nie ładne. Nigdy nie odezwali się jednym słowem. My też niewiele mieliśmy..., bo na przykład, jak raz w tygodniu kawałek boczku jadłem w niedzielę, to też było chudo. W każdym razie biednie było w czasie okupacji. Mimo że przed wojną rodzice mieli parę złotych i u nas, w mieszkaniu numer 7, obok nas mieszkała pani z mężem, którzy prowadzili wielki sklep Agryla. Mieścił się w hotelu oficerskim na ulicy Czarnieckiego. Tam potem był bar mleczny po wojnie i tak dalej. I myśmy tam z bratem pojechali, jeszcze jakiś wózek wykombinowaliśmy, taki, jak pcha się po ulicy, te owoce, nie owoce, i tym wózkiem pojechaliśmy. I przywieźliśmy mąkę, cukier, makarony, taką skrzynkę herbaty, to były z dykty takie skrzynki. Z 10 kilo tej herbaty było. I to wszystko... Kupę forsy zapłaciliśmy. I to wszystko przywieźliśmy do domu, i nawet bekony. Nawet bekony, te takie pięciokilowe, te świńskie zadki, przywieźliśmy i to wszystko zapeklowane było, i trzymało się przez wiele miesięcy. Myśmy chyba gdzieś od września do kwietnia, może do maja nawet..., do kwietnia, to mieliśmy swoje jedzenie. Tyle tego nawieźliśmy. A już właśnie mieszkał u nas stryjek, który ze Lwowa uciekł. A żona dopiero przyjechała w 1940 roku, w maju. Z synkiem takim małym. W każdym razie jestem przekonany, że mieli do nas w ogóle pretensję. I do mnie, i do ojca, i do brata, gdyby był brat, też by siedział. A w czasie przesłuchania jakieś zarzuty konkretne przedstawiali? Zarzuty były diametralnie różne. Byłem posądzony, że z gestapo paliłem Warszawę po powstaniu. Że mają na to dowody. A ja powiedziałem... A ja po powstaniu zostałem zawieziony do Poznania, do obozu pracy, i pracowałem u Cegielskiego. I ja od razu powiedziałem śledczemu: „Niech pan zatelefonuje do Poznania, na pewno mają moje dokumenty. Pracowałem przy tym i tym, przy tym młocie „Fallhammer”, taki spadowy młot, czterotonowy, i potem pracowałem przy hartowaniu. Majstrem moim był Gernot. To był z Górnego Śląska Niemiec, ze mną po polsku rozmawiał. A jak się zdenerwował, to mówił po niemiecku, ja po polsku. Ale ciekawa rzecz, w nocy ja przy tym piecu hartowniczym, tam pilnowałem, bo to trzeba było temperaturę najpierw rosnącą, potem malejącą powoli, bo hartowanie na tym polega, i w nocy zebrało się nas pięciu, bo dawali zupę taką. Nawet niezłą, gęstą. I myśmy jedli tę zupę w przerwie, takiej obiadowej, nazwijmy to, nocnej, i tam jeden taki baran do mnie się wyrwał: „Jak tam było w czasie tego powstania? Ty strzelałeś?”. Wie pan, bydlęce pytanie. Przecież wiedział, że to kula w łeb jest od Niemców. Ja mówię, nie strzelałem, zresztą zgodnie z prawdą, I mówię, przecież nie było sensu, nie, tego..., rozmyłem sprawę. Proszę pana, rano, to chyba siódma czy szósta, nie pamiętam, była zmiana, ja wychodzę, a idzie ten Gernot. Dziwiłem się, że on się spóźnia. Idzie

ten Gernot i do mnie, i chce mnie strzelić w twarz. Mówi: „Co ty... Ty chcesz, żeby cię gestapo zgarnęło?”. Niemiec. „Coś ty w nocy opowiadał?”. Ja mówię: „Właśnie nic nie mówiłem”. I uciekłem. Tam między maszyny, żeby mnie nie lał. W każdym razie ostrzegł mnie, że wśród tych czterech był kapuś. Jeżeli jeden. Tak że, wie pan, zaniechał ten śledczy sprawdzania, albo sprawdził może nawet, że rzeczywiście tam pracowałem. I takich głupich pytań już nie stawiał mi, czy paliłem Warszawę. Tak że wszystko było, wszystko. Pytania, które miały mnie pognębić. „Kolaborant, donosiciel, zdrajca...”. Co pan sobie życzy. Gama dowolnie szeroka. Przecież to było... Oni po prostu trafiali. Mieli donos tylko, że tu przychodziło dużo ludzi, no jak dużo ludzi, to jest wiadomo co, konspiracja. Ale jaka? W ogóle bronienie się, to wtedy było takie jak... Zaskakiwano pana jakimiś takimi... Tak głupie, że ludzie przesłuchiwani głupieli i głupio odpowiadali. Ale ja miałem jedną zasadę. Przesłuchania były na formularzach, a ja doskonale zapamiętałem sobie tę listę formularzową tych pytań. To na dwie strony było. A to było kilkadziesiąt, ze trzydzieści pytań. I odpowiadałem tak jak siekierą, ciachałem. Miałem bardzo dobrą pamięć, no już teraz to tak resztki magnackiej fortuny, ta pamięć, i odpowiadałem dokładnie tym samym. Tak że czy w ministerstwie, czy w wojewódzkim urzędzie, wszędzie miałem te same odpowiedzi. I nie mogli mnie za nic poderwać. To nie było... Trzeba było się bardzo skupiać, szczególnie w nocy, jak już trzeci raz wołali nad ranem o czwartej i pytali znów te same pytania, te identyczne, albo nieraz tam coś zbaczali, to trzeba było umieć wrócić na swój tor. Czyli tak koło trzech-czterech razy na dobę? A drugiego dnia nic. Chodziło o zmęczenie klienta, żeby stracił czujność, żeby rozplynął się psychicznie, żeby tracił czujność i nie wiedział, w którym miejscu jest atakowany, z którego kąta go podchodzą, z której strony go podchodzą, żeby go... W każdym razie ja miałem bardzo ciekawą sytuację. Nigdy Rosjanin mnie nie przesłuchiwał, nigdy żadnego dokumentu po rosyjsku pisanego nie podpisałem, tylko polskie, nie znałem rosyjskiego i bym nie podpisał, żeby nie wiem co. A proszę sobie wyobrazić, że jak nas zawieziono do Poznania, a potem przewieziono do Rawicza, ale do dyspozycji NKWD... No bo proszę sobie wyobrazić, że prokurator, który prowadził nasze śledztwo, nie ma o tym pojęcia. Nie zna tej książki. Ja mu powiedziałem, że powinien listę zrobić, tych, co przynajmniej pamiętamy. Ja mam koło trzydziestu nazwisk spisanych z jakimiś uwagami na ich temat, kim byli, co robili i tak dalej. A nie chciał. Nie wiem, dlaczego. Wiem już teraz od pana, że to są prokuratorzy, prokuratury generalnej i oni są niezależni od państwa.